

Maraton

bez mety

ROZMAWIĄŁ KAMIL DĄBROWA

Wywiad z profesorem Grzegorzem W. Kołodko (www.kolodko.net), autorem bestsellera pt.: „Wędrujący świat” (www.wedrujacyswiat.pl)

Od kiedy Pan biega, Panie Profesorze?

Od dziesięciu lat. Wcześniej też starałem się uprawiać sport – trochę tenisa i pływania – w myśl zasady „w zdrowym ciele – zdrowy duch”. Kiedy zaś zajmowałem się polityką, musiałem uodpornić się na wielkie stresy, których nie brakowało... Zaczęłem chodzić regularnie na siłownię, czasami pływałem, ale nie biegałem. Podobnie przez rok pobytu w Helsinkach, gdzie w Instytucie Badań Rozwoju Gospodarczego przy ONZ pisałem „From Shock to Therapy” dla Oxford University Press. Kiedy od wiosny 1998 roku byłem już w Waszyngtonie, siłownia w Banku Światowym i Międzynarodowym Funduszu Walutowym, gdzie wówczas pracowałem, była nieczynna w soboty i niedziele, no bo przecież „jest wolne”. I to skłoniło mnie do biegania w weekendy. Mieszkalem wtedy w centrum Waszyngtonu, 300 metrów od Białego Domu, wobec tego miałem świetne warunki do biegania. Jeden z najpiękniejszych parków na świecie, waszyngtoński National Mall, był miejscem moich pierwszych treningów. Prezydentowi Clintonowi w każdą sobotę i niedzielę machałem przez ogród różany do Oval

Office. Potem przenieśliem się na Uniwersytet w Yale i tam już nawet nie zapisałem się na uczelnianą siłownię. Biegałem. Jesień była tam wtedy tak piękna jak najpiękniejsze polskie jesienie! I od tego czasu biegam regularnie, a na siłownię przestałem chodzić w ogóle.

Jak to się zaczęło z maratonami? Ile ma ich Pan na swoim koncie?

Pierwszy maraton pobiegłem trzy i pół roku po tym, jak zacząłem biegać na dobre, w maju 2001 roku, a ostatni to Maraton Warszawski w końcu września. Tak się składa, że był to podwójny jubileusz: 30. Maraton Warszawski i mój też 30. W ciągu 7 lat przebiegłem zatem 30 maratonów, 9 w Polsce oraz 21 na wszystkich kontynentach, najczęściej wszakże w USA – od Nowego Jorku do San Diego, od Los Angeles do Miami.

Z wyjątkiem Antarktydy, ale tam trudno byłoby wystartować?

To prawda, na Antarktydzie jeszcze nie biegłem, choć i tam są biegi maratońskie. Na jeden z nich próbowałem się parę lat temu zapisać, ale było już za późno, bo pomimo olbrzymich

kosztów chętnych było sporo, a miejsca na dowożącym ich z Argentyny statku mało. To cała wyprawa z południowego krańca Argentyny, z miasteczka Ushuaia, w którym skądinąd byłem, na Półwysep Antarktyczny. Tam, zwłaszcza latem, nie wszystko jest przykryte śniegiem i lodem. Ale jest jeszcze większe wyzwanie, bo 42 km 195 metrów pokonać trzeba w okolicach samego Bieguna Południowego. Dolał tuje się tam i ląduje na lodowej czapie, ale potem bieć trzeba już samemu...

Skąd wzięła się zasada, że biega Pan maraton tylko raz w tym samym miejscu?

Przyjąłem sobie kilka zasad. Po pierwsze, każdy maraton biegnę gdzie indziej, a tym samym żadnego nie biegnę więcej niż raz. Po drugie, biegam przeciętnie cztery maratony w roku. Po trzecie, trzy z nich gdzieś w szerokim świecie, a tylko jeden w Polsce. Czwarta zasada, której przestrzegam skrupulatnie, polega na tym, że nie informuję nikogo, czasami nawet najbliższych, że będę biegł maraton. Ogłaszam to dopiero po fakcie.

Wzięło się to stąd, by nie pobudzać zainteresowania

mediów. Ja naprawdę biegam wyłącznie dla siebie.

W tym roku przyszło mi odstąpić od zasady niepowtarzania żadnego z maratonów. Drugi raz pobiegłem Nocny Maraton Świętojański w Gdyni. Dlaczego? Ano dlatego, że chciałem mieć przed 30. Maratonem Warszawskim 29 maratonów za sobą i pobiec także swój 30. Akurat po przebiegnięciu we wrześniu poprzedniego roku Moskwy, w lutym Siracusa na Sycylii i w kwietniu Dębna nie znalazłem żadnego dogodnego miejsca i czasu startu odpowiadającego mojemu napiętemu terminarzowi. Wobec tego skorzystałem z możliwości biegu w Gdyni. Przy okazji, także wyjątkowo w roku 2008, odwróciłem zasadę „3 na świecie, 1 w Polsce” i stało się odwrotnie. A wszystko po to, by zbiegły się we wrześniowym maratonie te dwie „30”. I o tym, że biegnę Maraton Warszawski, też nikt – poza żoną – nie wiedział. Nawet zarejestrowałem się w ostatniej chwili.

Jak przygotowuje się Pan do maratonów? Czy stosuje Pan jakieś specjalne metody treningowe?

Jestem amatorem w pełnym tego słowa



Na starcie maratonu w Dębnie.

Fot.: www.fotomaratoni.pl

znaczeniu. Nie stosuję żadnych specjalnych metod. Może gdybym skorzystał z jakiegoś instruktora, poruszałbym się sprawniej i biegał szybciej? Może łatwiej dawałbym sobie radę z pokonywaniem tego dystansu? Czasami ktoś próbował mi coś doradzać. Incydentalnie, gdy się z kimś spotykałem, zdarzało mi się wymienić kilka fachowych uwag.

Pamiętam taką przygodę. Kiedyś byłem z rodziną na weekend w Ośrodku Przygotowań Olimpijskich w Spale. Trenował tam Adam Małysz ze swoją ekipą. Zdarzyło mi się porozmawiać z profesorem Jerzym Żołądziem, wybitnym specjalistą fizjologiem. Opowiadał mi między innymi o procesie powstawania kwasu mlekowego w mięśniach. Objasniał mi tzw. krzywą mleczanową. Nie miałem o tym zielonego pojęcia. Pamiętam przestrogi, aby w żadnym przypadku nie biec, gdy przed oczyma pojawiają się plamy (nigdy ich nie widziałem), aby nie lekceważyć nierównomierności w rytmie pracy serca (bije równo i wali jak dzwon!).

Kiedyś Robert Korzeniowski powiedział mi, że trzeba biegać pod górkę, z górki, przyspieszać, zwalniać, a nie człapać równomiernie ileś tam kilometrów dziennie. A ja właśnie najczęściej tak człapię. Tym bardziej, że tam gdzie mieszkam, nie ma ani pod górkę, ani z górki. Jeśli jestem w domu, biegam sobie – raz rano, kiedy indziej wieczorami – polną drogą. Zimą zwłaszcza bywa to dość trudne, bo rano i wieczorem ciemno i niewiele widać, a na trasie są wertepy i jest nierówno. Biegam własnym rytmem. I staram się jak najczęściej.

Kiedyś z żelaznym rygiem biegałem 12 kilometrów każdego dnia. Nawet wtedy, gdy po raz drugim byłem wicepremierem – codziennie! – o 5. rano, nawet gdy wracałem do domu po północy, co zdarzało się częściej niż rzadziej. Teraz nie zawsze udaje się codziennie,

ale mimo wszystko biegam często.

Regularne bieganie to sprawa organizacji i wewnętrznej dyscypliny. To, czego może nie starczać, to determinacja, a nie czas. Jeśli ktoś nie biega, to po prostu nie chce albo się leni. Ma prawo, ale niech nie tłumaczy się brakiem czasu. Sam jestem pracoholikiem i ciągnę ten swój intelektualny kierat jakże często przez 20 godzin dziennie, 7 dni w tygodniu. Gdybym nie biegał, nie dałbym rady tak pracować.

Lubię biegać, bo to nie jest sport socjalny i nader łatwy do uprawiania. Nawet w odróżnieniu od pływania, które wymaga infrastruktury, czy tenisa, który oprócz kortów wymaga także partnera. To jest sport, w którym przy okazji wypada pogadać, no i trzeba koncentrować się na piłce, a nie rozmyślać o przyszłości świata czy zrównoważonym rozwoju.

Bieganiem też można zaprzątać myśli, ale po co dumać o tempie, kroku, oddechu, pulsie? Ja biegnę razem z wiatrem, słońcem, ptakami, ze swoimi psami. A nade wszystko ścigam się ze swoimi myślami, bo te z kolei zawsze ścigają się ze mną.



Rozgrzewka przed International Peace Marathon Mutare Zimbabwe, 24 września 2005 roku.

To znaczy, że Pan Profesor relaksuje się w biegu?

Zdecydowanie. Z jednej strony to wysiłek fizyczny, ale z drugiej to znakomity relaks, bo człowiek dzięki bieganiu nie jest bardziej, lecz mniej zmęczony. Dzień się nie skraca o przebiegniętą godzinę, ale jakby się wydłużał, bo dłużej można pracować przy pełnej koncentracji intelektualnej, nie ziewając, nie stękając, nie wzdychając. I nie klnąc. Czas biegu to okres wysiłku fizycznego, ale także swoistego relaksu psychicznego, bo przecież nie biegam z książkami pod pachą czy komputerem przed oczyma. Jednocześnie jest to czas intensywnego myślenia, bywa że nie mniej płodnego niż ten przesiedziący przed komputerem.

To jest właśnie Pańska „samotność długodystansowca”?

Także. Samotność bywa twórcza. A gdy ktoś szuka naukowej prawdy i, tworząc teorię, usiłuje wychwytywać prawidłowości i prawa rządzące tym razem biegiem procesów gospodarczych, to musi umieć poruszać się zarówno w tłumie, jak i w samotności. Moja praca, praca uczonego,

polega na myśleniu. Trzeba ogromnie wiele czytać, co, rzecz jasna, też sprowadza się do myślenia. Czytam wobec tego, co inni napisali mądrego. Bardzo wiele jest rzeczy mądrych i pięknych, które napisano. Warto je czytać i studiować, unikając głupstw, których napisano jeszcze więcej. Słucham tych, którzy mają coś mądrego do powiedzenia. Takich też nie brakuje, a ja już dawno się nauczyłem unikać słuchania głupków. I cały czas sam myślę. A gdy już coś wymyślę i ktoś inny chce słuchać tego, co ja z kolei mam do powiedzenia, to mówię. Stąd tak wiele wykładów, konferencji, udziałów w seminariach i dyskusjach. I to jest dopiero istny maraton, gdyż ze względu na olbrzymie zainteresowanie książką „Wędrujący świat” tylko w drugim i czwartym kwartale 2008 roku wygłosiłem dodatkowo, poza moimi regularnymi obowiązkami profesorskimi w Akademii Leona Koźmińskiego i licznymi wyjazdami zagranicznymi, aż 140 wykładów w 40 miastach. Od razu dodam, że gdybym nie biegał, to nie dałbym kondycyjnie rady. Cóż, myślę, więc biegam; biegam, więc myślę.

Panie Profesorze, jest Pan zwolennikiem diety bezmięsnej, ma Pan również radykalny stosunek do alkoholu. Jaki ma to wpływ na Pana życie?

Od kilkunastu lat jestem totalnym, skrajnym i stuprocentowym abstynentem. Kiedyś uważałem, że nie ma nic złego w picu alkoholu, a teraz uważam, że nie ma nic złego w niepicciu. Innym używać nie zabraniam, nadużywać odradzam. A mnie tego po prostu nie brakuje.

Każdy ostatni łyk alkoholu wypilem w filmowej scenarii. Ostatnią kroplę wódki przełknąłem w miejscu absolutnie pięknym, nad jeziorem Issyk-kul, z widokiem na góry Tien-szan, siedząc w kucki w jurcie. Gdy przyleciałem do Kirgistanu – było to w czerwcu 1996

Fot.: Archiwum prof. Grzegorza Kolodki



Fot.: REPORTER

roku – zapytałem wicepremiera, gospodarza mojej wizyty, czy można zjeść jeszcze barana w tradycyjny sposób. No to jako honorowemu gościowi – bo i ja wtedy byłem wicepremierem – podano mi teł barana. A z tego łyba – dymiący mózg. A największym specjałem i przywilejem było oko barana. To trzeba było splukać szklanką porządnej czystej wódki! Takiej z etykietką z Kirgizem na koniu. Kilka tygodni później byłem w małej, pięknej miejscowości, z włoskimi tradycjami, na półwyspie Istria. Na kolację tamże zaprosił mnie minister finansów Chorwacji. Na miejskim rynečku, pod kościołem, jedliśmy obfite potrawy mięsne, które popijaliśmy dobrym czerwonym winem. Wtedy to wypilem ostatnią szklankę wina. Nieco później, na przełomie września i października, na zaproszenie Theo Weigla, ówczesnego wicekanclerza i ministra finansów Niemiec oraz szefa CSU, gościłem na obchodach Oktoberfest

w Monachium. Tam nie było praktycznie możliwości picia czegokolwiek innego niż piwa. Nawet gdyby człowiek chciał szklankę wody, to i tak by mu nie podali. Bawarską golonkę i tłustą kielbasę trzeba było splukać solidnym kuflem piwa! I był to kufel ostatni.

A jak było z niejedzeniem mięsa?

Wegetarianinem jestem dziesiąty rok. I czuję się z tym znakomicie! To też wspinała przygoda. Przejście na wegetarianizm przypadkowo mniej więcej zbiegło się w czasie z bieganiem. Wcześniej przestrzegałem pewnych wymogów dietetycznych. Starłem się odżywiać racjonalnie. Nie jeść za dużo, nie jeść niezdrowych rzeczy, unikać czerwonego mięsa. Bardzo lubilem za to ryby i owoce morza. I kiedyś, podczas jednej z licznych wędrowek po tym fascynującym świecie, podziwiałem południowy Pacyfik. Któregoś dnia nurkowałem z butlą na Wielkiej Rafie Koralowej u wy-

Podczas spotkania promującego książkę „Wędrujący Świat”.

brzeży Australii. Kilkanaście metrów pod wodą podpłynęła piękna, wielka ryba, równa mi wzrostem – albo raczej, wypadłoby powiedzieć, długością – i ocierała się o mnie, patrząc swoimi wielkimi, wylupiastymi oczami. Wydawało się, że chce powiedzieć: Kołodko, teraz ty się wynurzysz i zjesz mnie na lunch? Zadałem sobie pytanie i aż się wstydzę, że nie postawiłem go wcześniej: czy naprawdę muszę ją zjeść, ergo wcześniej zabić, choć może nie własnymi rękami? Z tym pytaniem jeszcze trochę pozostałem, ale już krótko. Jeszcze Nowa Zelandia, Fidżi, Kalifornia i wróciłem na wykłady na Yale, na wschodnim wybrzeżu USA. Prowadząc tam kawalerską gospodarkę, kupiłem to i owo do jedzenia, w tym dwie puszki rybek. Jedną otworzyłem i zjadłem, drugiej już nie.

Od tego momentu jestem wegetarianinem. Ku wielkiemu, jakże pozytywnemu zdziwieniu

stwierdziłem, że nie tylko nie odczuwam głodu czy niedo-sytu jakichkolwiek składników, ale czuję się o niebo lepiej.

Jestem pewien, że to właśnie połączenie diety wegetariańskiej ze sportowym trybem życia jest źródłem sił witalnych, których mi nie brakuje, mojego dobrego samopoczucia i znakomitej kondycji psychofizycznej. I to daje mi możliwość harowania po 20 godzin dziennie, a motywację do tego biorę z intelektualnej ciekawości i przekonania, że to, co robię, służy dobrej sprawie.

Biegat Pan, Panie Profesorze na różnych kontynentach, pod różnymi szerokościami geograficznymi, w różnych strefach klimatycznych. Który z maratonów zapadł Panu najsilniej w pamięć?

Najsilniej w pamięć zapadły mi wszystkie z 30 przebiegniętych maratonów. To są takie przeżycia

i emocje, tak fantastyczne imprezy, że nie sposób ich zapomnieć. Obojętnie, czy jest to mały maraton na północy Kalifornii w Reading w Nowy Rok 2004, czy równie mała impreza, startująca o 4. rano, by uniknąć tropikalnego upału, na wyspie Guam, tym razem na północnym Pacyfiku, czy też pokonany w strugach deszczu bieg wokół jeziora Rotorua w Nowej Zelandii, czy też przebiegnięty nazajutrz po spotkaniu z papieżem Janem Pawłem II, wycierając się, chyba najtrudniejszy do tej pory maraton w Wiedniu, kiedy to w cieniu były 32°C. Tyle że cienia nie było! Na 11 tysięcy zawodników, którzy wystartowali, ponad 3,5 tysiąca nie ukończyło biegu. Mnie udało się w 4 godziny 29 minut i 41 sekund, a więc o ponad 41 minut wolniej niż półtora roku wcześniej w Toronto. Piękny był Maraton Stołca o Północy w Tromsø, za Kołem Podbiegunowym na północy Norwegii. Z przyjemnością wspominam każdy maraton w Polsce, zwłaszcza mój pierwszy w Toruniu i tegoroczny w małym Dębnie, jakże świetnie zorganizowany. Z pewnością wielką frajdą jest maraton w Nowym Jorku, w którym biegnie 35 tysięcy ludzi. Gdy w nim startowałem w 2002 roku ponad 33 tysiące osób bieg ukończyło, a ja zająłem chlubne miejsce w dziewiątym tysiącu biegaczy, zostawiając ich z tytułu ponad 23 tysiące!

Tak więc każdy maraton jest przeżyciem. Gdyby jednak ktoś zapytał, jaki z tych mi znanych polecałbym najbardziej, to z pewnością nowojorski. Gdyby z kolei miał jakiś jeden odradzić, to byłby pekiński, bo rozgardiasz tam wielki na starcie, a na trasie zbyt mocno czuć spaliny. Za to atmosfera armii zawodników biegnących Manhattanem jest niebywała! Nowy Jork to piękne miasto i kibice szczerze dopingują wszystkich biegaczy. Atmosfera fiesty, co parę przecznicy grają rozmaite zespoły, zagrzewając zawodników. Gdy po niespełna czterech godzinach wpada

Na mecie maratonu we Wrocławiu, 24 kwietnia 2005 roku.



się na 26. milę w Central Parku i wciąż widzi wielu biegnących ludzi zarówno przed jak i za sobą, człowieka ogarnia radość. To taki maraton, w którym startuje się w tłumie i w tłumie wbiega się na metę. Słyszałem, że podobną atmosferę mają inne wielkie maratony, ale nie biegłem jeszcze w Londynie, Chicago, Bostonie, Amsterdamie, w Paryżu. W Europie oprócz maratonów, o których już mówiłem, bieglem w Helsinkach i Mediolanie oraz piękny maraton, choć przy brzydkiej pogodzie, w Moskwie.

W jednym z wywiadów powiedział Pan: „Jestem długodystansowcem, zawsze wytrwale zmierzam do celu”. W swojej ostatniej książce „Wędrujący świat” pokazuje Pan długodystansową perspektywę dróg, jakie przeby-

ła i ma jeszcze do przebycia ludzkość. Czy sport sprawia, że łatwiej Panu osiągać odległe cele w życiu i w pracy?

W rzeczy samej. Ta książka traktuje o długofalowych, pokoleniowych, epokowych wręcz procesach rozwoju społeczno-gospodarczego. Napisałem ją w stylu beletrystyki naukowej, aby była przyjemną lekturą, z zacięciem interdyscyplinarnym, by nie gubić z pola widzenia spraw ważnych i ciekawych. Gdy człowiek biegnie maraton, musi mieć wolę i siłę, żeby konsekwentnie zmierzać do mety. Ale po przebiegnięciu 42 km i 195 metrów ona jest! Zatrzymuje się nań z wielką satysfakcją, bo pokonał ten długi dystans. Natomiast proces rozwoju gospodarki, ewolucji ludzkości, zmian kulturowych, postępu cywilizacyjnego jest takim nigdy niekończącym się

biegiem. To taki maraton bez mety. A bieć trzeba... Czasami żartuję, że jak się realizuje długofalową strategię rozwoju i wydawałoby się, że już powinien być punkt z napisem META, ktoś przesuwa go do przodu. A potem jeszcze dalej. I dalej.

Polityka gospodarcza, praca intelektualna na rzecz postępu, prorozwojowo zorientowane badania naukowe są takim niekończącym się maratonem. Tu trzeba mieć niespożytą energię, bo jest to maraton na całe życie. Tym się właśnie zajmuje, a bieganie długodystansowe uczy mnie z jednej strony pokory, a z drugiej zdolności usadawiania rozważanych problemów we właściwej perspektywie czasowej. Obawiam się jednak, że wielu badaczy – a już na pewno większość polityków – ma tendencje do skracania dystansu. Tam dominują krótko- i średni dystansowcy, natomiast w niekończącej się batalii o rozwój zwyciężają ci, którzy potrafią być długodystansowcami. Górę biorą ludzie potrafiący pokonywać olbrzymie przestrzenie i długie odcinki, bo na rozwiązywanie wielu problemów, przed którymi stoi ludzkość i świat, cywilizacja i gospodarka, trzeba mieć czas. Nade wszystko jednak trzeba mieć teorię objaśniającą, co od czego zależy i podpowiadającą, co robić, aby było lepiej. I to właśnie wyjaśniam w „Wędrującym świecie”. To taka wspaniała, intelektualna podróż w czasie i przestrzeni odpowiadająca na proste wydawałoby się pytanie, które chyba wszyscy stawiają: dlaczego jest tak, jak jest i co będzie dalej?

USA to kraj, w którym Pan pracował, w którym biegał Pan maratony, to kraj, w którym rozwinęła się gospodarcza i ekonomiczna doktryna neoliberalizmu, który Pan tak mocno krytykuje. Jaka będzie Ameryka po wybraniu na prezydenta Baracka Obamy?

Podziwiam amerykańskie społeczeństwo, znam jego historię, rozumiem ewolucję, jaką

przeszedł ten kraj. Nieobce są mi elementy składające się na wartości amerykańskie. Nie przeszkadza mi to bynajmniej w pryncypialnym, zdecydowanym potępianiu dewiacji w amerykańskiej polityce, w krytyce pęknięć, które zaszły w tym społeczeństwie pod wpływem ideologii neoliberalnej. Teraz już wyraźnie kompromituje się ona na naszych oczach i powoli upada. Amerykański neoliberalizm pod pięknym hasłem walki o demokrację i wolny rynek przez wiele lat narzucał własne interesy innym, wciągał innych do neoliberalnej gospodarczej wirówki nakręcającej – do czasu – interesy wąskim elitom finansowym kosztem ogółu. Także w Polsce, zwłaszcza podczas szoku bez terapii na początku lat 90. i schładzania bez sensu w ich końcu. Teraz, na fali rozlewającego się kryzysu, widać, że narzucanie przez USA światu swojej hegemonii na modłę neoliberalną nie powiodło się. Aby być przywódcą świata, trzeba umieć się o ten świat zatroszczyć, a nie forsować swoje interesy, często kosztem innych.

Prezydent Obama – choć przyjdzie mu rządzić w trudnych okolicznościach marnej spuścizny upadającego neoliberalizmu, głównie w formie kryzysu ekonomicznego, z jednej strony, i okupacji Iraku z drugiej – niesie pewne nadzieje. Zmienić się muszą nie tylko sposoby nadzoru finansowego, ale dużo więcej, począwszy od niektórych amerykańskich wartości. W całym podejściu do gospodarowania – w USA i wielu innych miejscach, także u nas – dokończyć musi epokowe przesuwanie akcentów z „mieć” na „być”. Już teraz dużo większą uwagę trzeba poświęcać równowadze ekologicznej – nie mniejszą niż finansowej – a nie tylko czy wręcz przede wszystkim zaspokajaniu zachłanności i chciwości i tak już bogatych tego świata. A do tego sprowadza się w zasadniczej mierze neoliberalizm, gdy tylko przejrzeć go na wylot.

Jest teraz przynajmniej jakaś nadzieja – bo pewności nie ma żadnej – że oto polityka nie tylko amerykańska, ale globalna wręcz, bo do takich to dowieźdrowaliśmy czasów, będzie bardziej nasycona aspektami społecznymi. Choć Amerykanie nie używają takich pojęć jak społeczna gospodarka rynkowa, to i w USA bez wątpliwości będzie w niej więcej tego, co my w Europie rozumiemy pod tym pojęciem. Administracja prezydenta Obamy nieco bardziej będzie sprzyjała interesom ludzi, grup społecznych kryjących się za zbitką pojęciową Main Street, czyli szerszych odłamów warstwy średniej i tych jeszcze biedniejszych, w przeciwieństwie do tego, co było za czasów republikanów i górowania neoliberalizmu, kiedy to dbano głównie o interesy Wall Street. Nie mam wszakże zbyt wielkich oczekiwań co do tej prezydentury w kontekście zmian, jakie powinny zajść na całym świecie. To gra na dłuższą metę, choć cztery – albo i osiem – lat nowej prezydentury w USA ma tu znaczenie.

Oslabi się jeszcze bardziej dominująca do tej pory rola Ameryki, a relatywnie wzmocni się pozycja takich wyrastających globalnych potęg, jak Chiny, Rosja, Indie i niektórych innych krajów, a zwłaszcza ich ugrupowań integracyjnych. Odwołując się raz jeszcze do tych naszych biegowych analogii, można konstatować, że my wciąż widzimy przed sobą koszulkę z napisem „USA”, bo jest to gospodarka i państwo nasycone najwyższej klasy fachowcami, wiedzą, technologią, kulturą i, oczywiście, kapitałem. Jednakże dla Chińczyków, Hindusów czy wschodnich Europejczyków, także Polaków, dla Brazylijczyków i Argentczyków, a nawet dla niektórych szybko biegnących w tym ekonomicznym wyścigu mieszkańców subsaharyjskiej Afryki czy Bliskiego Wschodu plecy z tą koszulką będą coraz bliżej, a po kilkunastu maratonach mogą być na wyciągnięcie ręki. Amerykański maratończyk re-

latywnie nieco straci na swej potędze, ale nadal będzie wielkim biegaczem, z którym każdy musi się liczyć i każdy będzie musiał go szanować.

Czy zgodzi się Pan Profesor z tezą, że jedną z miar cywilizacji danego społeczeństwa jest odsetek ludzi, którzy biegają? W Polsce, 38-milionowym kraju, odsetek biegających maratończyków jest niewielki w porównaniu na przykład z Danią.

Nie zgadzam się z tym poglądem. Znam społeczeństwa na niższym poziomie rozwoju gospodarczego niż nasz, które mają inną kulturę, a odsetek biegaczy jest tam większy. W ogóle nie używam pojęcia: cywilizowane społeczeństwo. Każdy kraj ma jakąś cywilizację. Są kraje dużo słabiej rozwinięte gospodarczo niż Polska, w których ludzie zdecydowanie intensywniej wędrują, biegają, bo nie mają innego wyjścia. Tam, by pokonywać pewne odległości, trzeba robić to szybko, czasami biegiem. Stąd biorą się takie potęgi biegowe jak Etiopia, Tanzania czy Kenia. Te sukcesy nie biorą się z dobrobytu, jak to jest na przykład w Holandii czy Szwajcarii.

Bez wątpliwości, na pewnym etapie rozwoju w krajach najbogatszych istnieje wyższy poziom świadomości, który skłania ludzi do tego, by dbali o siebie także od strony fizycznej. Jest rzeczą naturalną, że dużo więcej ludzi uprawia aktywne formy sportu w Europie Zachodniej w porównaniu z państwami arabskimi czy Indiami. Ale to znowu ma pewien kontekst kulturowy, bo w Indiach dobrze wyglądający człowiek jest tłusty i nalany, a w USA jest smukły i wysportowany. Nie wiązałbym tego jednak z ogólnym poziomem cywilizacyjnym. Po prostu osoby biegające są zdrowsze, a z drugiej strony zdrowsi ludzie więcej biegają i w jakimś stopniu przekłada się to na całe społeczeństwo. Zdrowsze społeczeństwa są bardziej aktywne ruchowo, a bieg jest przyjemną i najbardziej naturalną formą ruchu dla człowieka.

Jakie ma Pan plany maratońskie na 2009 rok?

Zgodnie z moimi zasadami: 4 maratony, z czego 3 na świecie i 1 w Polsce. I zgodnie z zasadami nie mówię zawczasu, gdzie i kiedy. Tym bardziej, że sam tego jeszcze nie wiem. ■



Dekoracja uczestników kończących Guam Marathon 26.03.2006.